

BLUSZCZ.

dzisie
z tel
afi ob
stacy

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

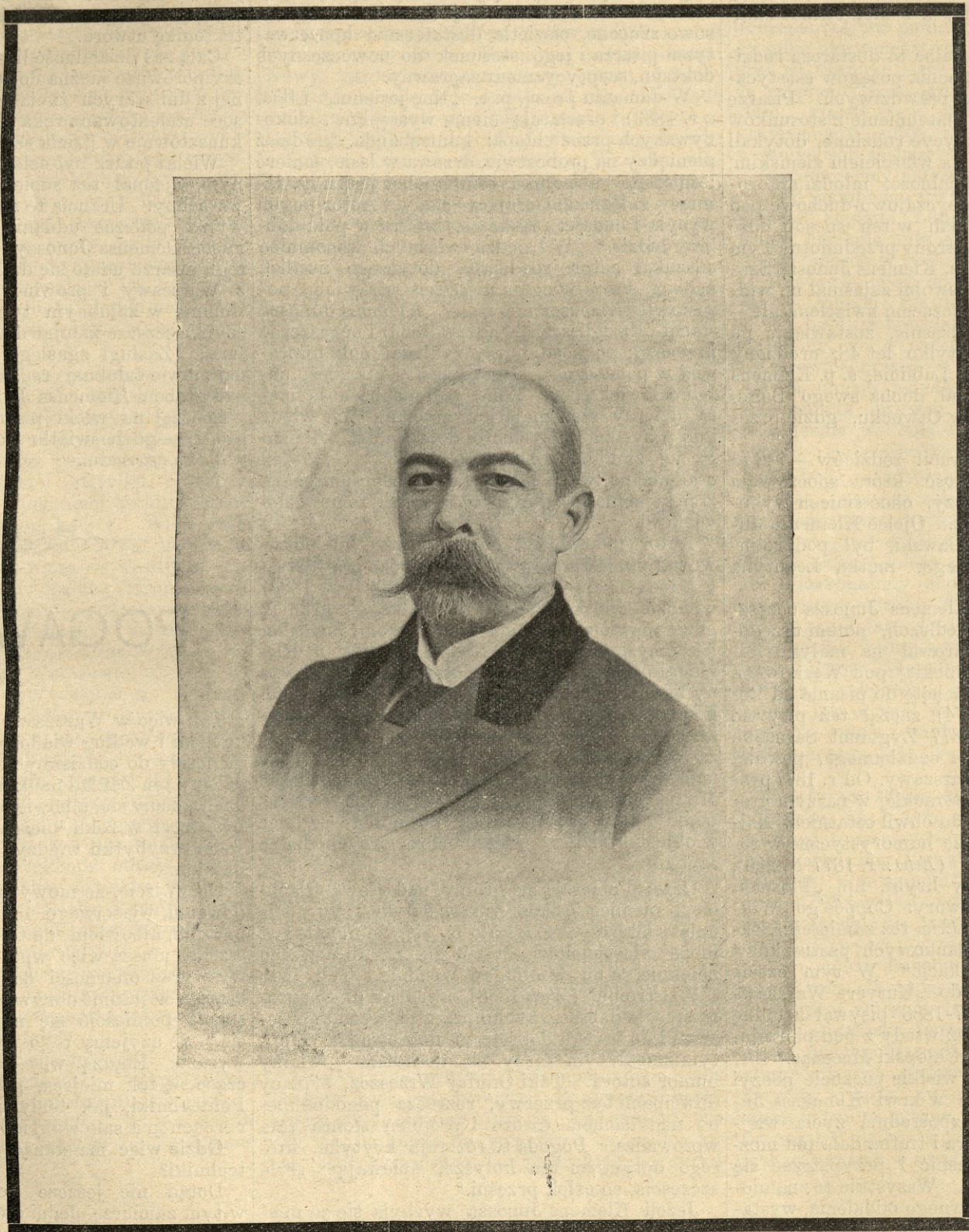
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowieza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.



† Ś. p. Klemens Junosza Szaniawski.

Z

Ś. P.

Klemens Junosza

SZANIAWSKI.

Rozsiane po polach wioski zawierają w sobie trzy obok siebie leżące czynniki, które związane mnóstwem potrzeb codziennych i stosunków wzajemnych, oddziaływają na tok interesów wspólnych, łączą się w pewnych wypadkach, różnią się w pewnych poglądach, ale ostatecznie tworzą jednostkę zbiorową o charakterze wspólnym. Plebania, dwór i chata—oto składniki owej jednostki zbiorowej, która w sumie społecznej odgrywa rolę olbrzymią, a przeto zasługuje na baczność uwagę myśliciela, socjologa, pisarza. Ale oprócz tej doniosłości ogólnej, wieś posiada nieprzebrane skarby piękna i na pozór cicha atmosfera kryje w głębi okrzyki radości, bólu, rozkoszy i cierpienia.

Trzeba tylko umieć słuchać, aby w lekkich szelestach odgadnąć jęki, a w nich odczuć smutek.

Dla ducha artysty kraina ta dostarcza rodzimego marmuru do rzeźbienia posągów estetycznie pięknych, a życiowo prawdziwych. Pisarze nasi czerpali też nieraz natchnienie z stosunków wiejskich, malowali tradycje rodzinne, dotykali obowiązków, ciężających na właścicieli ziemskich, określali ich odpowiedzialność; młodzi autorowie starali się dać tło obyczajowo-duchowe pod obrazy fantazyj i ogarniali w ten sposób dość wyczerpująco rozmaite strony przedmiotu. Tym wpływem uległ też pisarz, Klemens Junosza Szaniawski, który talentem swoim zajaśniał na widnokręgu literackim błyszczącym światłem, ale—niestety—zgasł przedwcześnie, zostawiając po sobie żal ogólny. Żył tylko lat 48; urodzony d. 23 listopada 1849 r. w Lublinie, ś. p. Klemens Junosza Szaniawski oddał ducha swego Bogu, dnia 22-go marca r. b. w Otwocku, gdzie przebywał na kuracji.

W młodym wieku stracił rodziców—i ztąd wziął w spadku rzewność, która spoczywała zawsze na dnie jego duszy, choć śmiech wybuchał nieraz na zewnątrz. Ojciec Klemensa Junoszy Władysław Szaniawski, był podprokuratorem sądu lubelskiego; matka Leontyna z domu Brodowska.

Po śmierci rodziców Klemens Junosza uczęszczał do gimnazjum w Siedlcach, potem urzędował, następnie gospodarował na małym folwarczku w Woli Korytnickiej pod Węgrowem. Tu pierwszą otrzymał zachętę do pisania od Bolesława Prusa (w r. 1874); zaczął też pisywać do *Kolców*. W roku 1877 Zygmunt Sarnecki, ówczesny redaktor *Echa* codziennego, powołał Klemensa Junoszę do Warszawy. Od r. 1877 pracować zaczął na niwie literackiej w naszym grodzie i nie opuścił jej, aż do chwil ostatnich. Najpierw drukował wiersze humorystyczne w rodzaju „Kuźni Wulkana.“ (*Echo* z r. 1877 N. 236); potem potraçał w struny liryki, np. „Piosenki leśne;“ tłumaczył też utwory: Coppée'go Wiktora Laprade'a etc. W *Echu* też zamieścił: „Zaściankowe dzieje,“ „Sielankowych pastuszków“ i „Baśń o dwóch świadkach.“ W tym czasie również zaczął pisywać do „Kuryera Warszawskiego,“ gdzie od r. 1887-1888 pisywał kronikę tygodniową. Wyszła też wtedy z pod pióra jego sztuka ludowa, p. t. „Chłopski Mecenaz.“

Przywiązanie do wsi i wielkie poczucie poezyj piękna wiejskiego leżało w krwi Klemensa Junoszy. Obserwacja bezpośrednia życia wiejskiego, nadzwyczaj bystra i trafna dała mu możliwość wszechstronnie ocenić i przypatrzeć się charakterowi ludowemu. Wszystkie te znamiona, widziane potem z pewnego oddalenia, wystąpiły przed wyobraźnią pisarza w dobitnych ry-

sach i Klemens Junosza począł je odtwarzać z nieporównaną plastyką. Do cech charakterystycznych, jakie uderzyły go na wsi, oprócz szlachcica i chłopca—należał także typ żyda, bezpośrednio z życiem wiejskim związanego; typ ten znalazł potem w Klemensie Junoszy wyborowego malarza i uświetnił niejedną kartę utworów znakomitego pisarza.

Obok zaś tych żywych przedmiotów, które zajmowały go w wysokim stopniu, wielką rolę odgrywała również przyroda przez pryzmat poetyczny Klemensa Junoszy widziana: umiał on na naturę patrzeć, wdzięki jej widzieć i piękności jej opisywać. Koloryt miły, wypukłość charakterystyki osób działających, humor niewyczerpany, uczucie szczerze i serdeczne—oto piętna talentu zgasłego autora. Rysy te odbijają się np. dobitnie w takich dziełach, jak: „Na szarej jesieni“, „Noc jesienna“, „Na zgliszczach“, „Lekki grunt“, „Ustronie“, „Pan sędzia“, „Wilki“, „Nowy dziedzic“, a zwłaszcza: „Pająki“, i „Panowie bracia,“ autor bawi, zajmuje, rozrzewnia. Śmieje się bez ironii, szczerze po polsku, z wielką dozą dobroduszości.

W nowelli „Na szarej jesieni“ widzimy profil starej kobiety—o zmarszczone na czole—spełniającej tysiączne zadania codzienne, z cichym poddaniem; „a jednak—mówi autor—ta kobieta nigdy w życiu nie pisała o obowiązkach“... Czy to jest aluzja do piszących o obowiązkach kobietach? Mniemam, że to jedno zdanie, nawiasowo rzucone, oświetla dostatecznie konserwatyizm pisarza i jego stosunek do nowoczesnych doktryn, sceptycyzmem zaprawny.

W dumaniu prozą, p. t. „Noc jesienna“ (*Wiek* z r. 1883), przelatują cienie występów, dokonywanych przez chłopca: kontrabanda, kradzież pieniędzy na probostwie, drzewa w lesie, śmierć leśniczego—a po nad tem wichler jesienny, łamiący gałęzie, zacierający ślady. Autor pogoń wysłał i dodaje: „szukajcie wiatru w polu dobrzy ludzie.“ W księdze własnych wspomnień odszukał autor rozdział, dotyczące zwalisk nadziei, która w ogniu nieszczęść strawiona, pozostała w spuszczonych ruinach. Klemens Junosza stanął „Na zgliszczach“ (*Wiek* 1883) i oczyszczać je począł; podnosił mury, zakładał pola i uprawiał w pocie czoła. Hart musi się znaleźć, jeżeli człowiek chce. Zona pod nieobecność męża dzierży ster majątku, zręcznie nim włada i do przystani pomysłowości doprowadza. Poma-ga jej żmujdzin, Dyrdejko żelazny człowiek o kamiennej woli i poświęceniu nieograniczonem. Z przyjemnością przypatrujemy się temu człowiekowi.

Autor nie tworzył nic z fantazyj, ale obserwował pilnie i wzorował rysy bardzo prawdziwe.

Młody Zakrzewski („Lekki grunt“ *Wiek* 1884), dziedzic wioski, spędził lat kilka za granicą, gdzie niewiele się nauczył, ale trwonął pieniądze lekkomyślnie bardzo. Rodzina—(jak u Klemensa Junoszy zawsze)—patrzy zdaleka na czynny młodzieńca, płacze nad jego płochością, modli się o nawrócenie owieczki zbłąkanej i... posyła lampartowi pieniądze tyle, że gonić może za „zblazowaną“ jakąś jejmością, o której do ucha czytelnika dochodzą niekorzystne wieści. Mijają lata, p. Stanisław jeździ po świecie, pojedynkuje się i—wraca do domu—padając w objęcia rodziny. Metamorfoza przychodzi za szybko.

Czasem zbierają się gromy nad głową szlachcica; niemiec osiada w sąsiedztwie, żyd siecią oplata interesy. Zdawało by się, że nic nie pomoże właścicielowi, że ziemia z pod nóg mu ucieknie, a on w otchłań wpadnie. Tak było „W Ustroniu“ (*Wiek* 1886), a jednak pióro autora steruje dobrze, szybko przez prąd łódkę przesuwa i do brzegu dobrobytu doprowadza. Z optymizmem tym łączy się doskonale jowialny humor autora. Taki Onufry Wrzeszcz, sypiący dowcipami bez przerwy, roztacza pogodnie niebo nad dachem dworu i promień słońca tam wprowadza. Pogoda ta rozbiera krytyka, którego optymizm ten kołysze, śpiewając: „tyle szczęścia, co człek przesni.“

Jeżeli Klemens Junosza wychyla się za międę folwarku, to tuż obok; co najdalej zawadzi

o miasteczko, porozmawia z gieldą tamtejszą, pociągnie z lampeczki u księdza kanonika, rzuci się na politykę z dygnitarzami prowincjonalnymi i wrazenia swoje co najprędzej streści. Nie może on wytrwać długo za kopcami granicznymi; zaledwie obejrzy się tu i owdzie, wraca do dworku szlacheckiego. Widocznie w nim tylko czuje się na swoich śmieciach. Szlachcic budzi się w nocy, porywa strzelbę, leci pomiędzy zabudowania gospodarskie, niepokoje o dobytek, narzeka, ale ze wsi nie wyjeżdża. „Przeciętne dobra“ nie przynoszą dochodów wielkich; szlachcic wzdycha, jęczy płacze nad niedolą, sprzedaje oziminę na pniu, ale jakoś lata mijają, taczka życia pcha się naprzód, głowa wprawdzie łysieje, las rzędzie—lecz zdrowie i pomysłowość wzdolna (dobre i to na tym leż podole), opromieniona błogosławieństwem Bożem: dość licznym potomstwem, panuje „na Kujawach, lub na Podlasiu, pod Rypinem lub w stronie Szczekocin, albo Maryampola; nad Narwą, nad Niwą, lub też z przeproszeniem nad Wieprzem.“

Coraz bardziej się Klemens Junosza rozwijał. W „Pająkach“ sławę swoją ubezpieczył zupełnie; rozwój zaś ten twórczość dla sceny nawet skierował. Są to utwory: „Mecenas chłopski“, „Wyciąg dystansowy“ (do spółki z p. Laskowskim), „Baby“ (do spółki z Przybylskim) i t. d.

Możnaby bohaterem Klemensa Junoszy uczynić zarzut, iż za dużo mówi; dyalogi nieraz trwają za długo: to osłabia uwagę i psuje architektonikę utworu.

Całą zaś działalność literacką Klemensa Junoszy porównać można do rudy żelaznej, wykopanej z dni szarych życia codziennego, którą wysoce utalentowana ręka artysty przetopila nader kunsztownie w dzieła sztuki.

Wielki pisarz był szłowiekiem prawym i zycznym, zjednał też sobie miłość i szacunek powszechny. Uczucia te znalazły swój podniosły wyraz podczas oddania ostatniego hołdu pamięci Klemensa Junoszy. Na pogrzeb znakomitego pisarza udało się do Lublina osób mnóstwo z Warszawy i prowincyi; ludność miejscowa tłumnie w żalobnym tym obchodzie uczestniczyła, szczerze żalując dzielnego obywatela—pisarza. Zasługi zgasłego męża określił w pięknej mowie żalobnej redaktor Fr. Nowodworski, nad grobem Klemensa Junoszy wypowiedzianej.

Spoczął na wieki pisarz znakomity w tym grodzie—gdzie światło poraz pierwszy ujrzał...

Vitam aeternam...

A. Dobrowolski

POGAWĘDKA.

Tak więc w Warszawie będziemy Politechnikę mieli i według wiadomości, jakie z Petersburga doszły do codziennych pism naszych mieć będziemy ten Zakład naukowy prędzej, aniżeli spodziewaliśmy się, albowiem Wolą Najwyższą jest, by jeszcze w roku bieżącym podwoje tego nowego przybytku wiedzy otwarły się w grodzie naszym.

Oczywiście, że mowy tu być nie może o zbudowaniu, właściwego na ten zakład naukowy, gmachu, albowiem na to i czasu i pieniędzy potrzeba, muszą więc wpłynąć nowe składki, nowy wyraz ofiarności dać społeczeństwo, a tym czasem w jakimś dorywczo wynajętym budynku szkoła pomieścić się musi i—„zapoczątkować się,“ że użyjemy tego nie bardzo wdzięcznego wyrazu. Błądzą więc rozmaite domysły, dotyczące się tak miejsca, gdzie stanąć ma gmach Politechniki, jak budynków, które mogą być ebróccnę a sale wykładów i laboratoria.

Gdzie więc ma stanąć gmach przyszły Politechniki?

Dotąd nic jeszcze pewnego nie powzięto w tym zamiarze. Jedni zwracają uwagę na place po szpitalu Dzieciątka Jezus, inni wskazują miej-

sce przy zbiegu ulicy Długiej i Nalewek, są też i głosy przemawiające za placem na Koszykach, gdzie lat temu parę była Wystawa higieniczna.

Jakkolwiek trudno jest o place w ścieśnionej Warszawie, gdy pieniądze jednak zebrane będą a czas przyjdzie na zakładanie fundamentów, kłopotu o to nie będzie—trudniej jest poradzić z tymczasowem wynajęciem gmachu, któryby odpowiedział wszystkim potrzebom szkoły tak poważnej.

Dotąd dwie wersje mamy: „Torg. Promysz. Gaz“ podała wiadomość o zamiarze p. Jana Blocha, udzielenia, stanowiących jego własność, po byłej fabryce tytoniu „Union“ przy ulicy Marszałkowskiej, mieszczących obecnie koszary, na czasowe siedlisko *Warszawskiego Instytutu Politechnicznego*.

Druga wersja zrodziła się na bruku Warszawskim, o ile w niej jest prawdy, trudno powiedzieć.

Oto, miał p. Leopold Kronenberg wyrazić chęć za niską cenę odstąpienia swojego pałacu przy ulicy Mazowieckiej na pomieszczenie Politechniki. Piękny ten gmach, po skasowaniu domu bankowego i przeniesieniu biur kolei Nadwiślańskiej stać będzie w większej swej części pustką, użytkować go więc można byłoby na pomieszczenie Instytutu politechnicznego, wszystko zaś przemawia za tym ostatnim projektem, który pomimo pewnych braków, łatwiejszy jest do urzeczywistnienia.

Pomijamy już tu sam wygląd wspaniałego gmachu—położenie jego w śródmieściu, jako też bliskość uniwersytetu, z którego pomocy młoda instytucja naukowa w początkach swojego istnienia korzystać musi—przemawia na korzyść tego pałacu. Oczywiście, że bez znacznych przeobrażeń wewnątrz gmachu obejść by się nie mogło, że okaże się potrzeba wzniesienia krom tego budynków parę dla warsztatów i laboratoryów, lecz mając grunt pod nogami, łatwiej tego wszystkiego dokonać, aniżeli wszystko za zynać, poczawszy od cegielki pojedynczej. Koło pałacu Kronenberga znajduje się, jako przynależność do tej posesyi. spory plac pusty, na którym potrzebne budynki mogłyby być wzniesione, z wielu więc względów, nie wynajęcie już, lecz nabycie na własność Politechniki dominium barona Leopolda Kronenberga ze wszech stron jest pożądane.

Użyteczne wraz z pięknem łączyć się musi. Budując dzisiaj dom, na jakikolwiek bądź pożytek przeznaczony, dbamy nie tylko o wygodę wewnętrzną lecz i o zewnętrzne piękno. Uniwersytety, Muzea i tym podobne gmachy poważne, mają imponować nie tylko potężnym swym wyglądem lecz i pięknymi architektonicznymi liniami. Nie na tem koniec. Wiele pożądanej powagi dodaje sień wchodowa, piękny załom schodów, wysokość i jasność westibulu. Jeżeli wygląd zewnętrzny pałacu Kronenberga, pod względem estetycznym pozostawia wiele jeszcze do życzenia, wspaniałość westibulu czy klatki schodowej jest wprost niezrównana. Nie znam gmachu w całej Warszawie, któryby się mógł pochwalić wejściem podobnem. Kolumny marmurowe, stiukowe ściany, olbrzymie okna, rzucające pełnymi snopami światło dzienne, prześliczna linia podwójnych schodów o spadku lekkim—to wszystko razem wzięte, jest wprost wspaniałe. Szkoda tylko byłoby salonów pierwszego piętra, które budował magnat z myślą wygody własnej, nie zastosowując wcale rozkładu sal do jakiegokolwiek bądź innego użytku. Niejedna tam przepyszna komnata musiałaby być przepołowioną, zmieniałaby i swój wygląd strojny sala balowa, wysoka przez piętro całe—ale to trudno; rozbrzmiewałyby w niej nie dźwięki muzyki, lecz głosy profesorów, napelniałby gwar młodzieży, sprzeczką uczona, tworzące myśli niejednego Szczepanika może.

Szczepanik? a kto to taki?

Nowym go zowią Edisonem—

—Ależ, panie—to nazwisko brzmi jakos... Jakby to powiedzieć? brzmi dziwnie-swojsko.

—Tak, łaskawa czytelniczko—bo ów Szczepanik jest kość z kości i krew ze krwi rodakiem twoim.

—Wynalazca! nowy Edison!... Polak?...

Mimowolnie może rodzi się w myśli twojej niedowiarstwo, mimowolnie też jednak duma pierś twą rozsądza, że w olbrzymiej księdze wynalazków świata zapisane wielkimi, złotemi zgłoskami zostanie imię polskie.

Cieszę się z twej dumy, doznaję smutku ze zdziwienia twojego.

Pani mnie ulagadzasz i tłómaczysz to zdziwienie swoje.

Tak—rozumiał!

Świat pomykał naprzód, budował koleje, ujarzmił siłę piorunową, nadpowietrzną chciał zawładnąć krainą i—dokonywał tych cudów. Brzmiały jednak z cudzoziemska zawsze imiona cudotwórców, swojskie imię nie pogłaskało ucha naszego, ni uczuciem dumy wypełniło piersi naszej. Szczep nasz pozbawiony był siły twórczej, nie tej wprawdzie, która spżżowemi dźwiękami odzywa się w „Panu Tadeuszu“ lecz tej, która siłą umysłu zajrzeć potrafi do tajników przyrody, skorzystać z jej praw, ujarzmić je i sobie podesłać pod stopy. Wynalazki nie naszym były udziałem—Kopernik, jako jedyne, wyjątkowe słońce na polskim świeci niebie.

Tak?

Nie—tak nie jest!

Skroplenie gazów niektórych jest, zdaje się, zasługą naszych uczonych, dziś telekroskop, t. j. przyrząd, za którego pomocą będziemy mogli na przestrzeń dowolną przerosić pismo, obrazy, barwy—jest także wynalazkiem naszym. Znalazłoby się i wielu innych ludzi z polskimi nazwiskami, którzy zapisali się w wszechświatowej księdze wynalazków, tylko zamało o nich wiemy; chwyciła je Francya, Anglja, Świat-Nowy; zatoniły w ogromnym morzu ogólnoludzkich wynalazków—zdała od nas. Nie będę jednak sprzeczał się z tobą, pani, że—bądź co bądź—w ogólnym dorobku świata, na polu wynalazków skromne mamy imię. W wieku właśnie bieżącym, w wieku najbardziej zdumiewających odkryć, myśmy się oderwali od ziemi. Ku niebu strzeliła pieśń—wybijała poezya, uczucie, serce.

Nie dziw się! tak być musiało!

Do poważnej, mozolnej, mrówczej, nadmiernej pracy—potrzeba było gruntu. Zajęliśmy się zdobyciem go. Dlatego zdziwienie twoje, pani, wywołało we mnie uczucie smutku. Nie w stronę twoją był on skierowany.

Zawdzięczając potężnemu talentowi Sienkiewicza, imię polskie w szerokim odezwało się świecie. Dawaliśmy się poznawać bogactwem naszego piśmiennictwa. Teraz cała prasa europejska zajmuje się drugim imieniem—wynalazki Szczepanika, obchodzą dziś ogół uczonych. Całe szpałty pism zagranicznych są poświęcone życiorysowi jego i wynalazkom, jak: tele—elektroskopowi, zwanemu przez skrócenie: telekroskopem, rosterowi tkackiemu, wreszcie innym pomysłom.

Nie dość jednak rozgłosu. Szczepanik jest na drodze do milionowej fortuny, bez względu na to, że wynalazkiem swoim, właściwie dochodami, jakimi z powodu swojego wynalazku będzie zmuszony się podzielić ze swym impressariem, bankierem wiedeńskim p. Juljanem Kleinbergiem, zajmującym się wyłącznie finansowaniem t. j. patentowaniem i sprzedażą jego wynalazków. Czytamy np. „że p. Kleinberg zawarł umowę z zarządem paryżkiej wystawy międzynarodowej w 1900 r., na tych warunkach, że zarząd wystawy zobowiązuje się wnieść osobny pawilon na pomieszczenie telekroskopu i gwarantuje sześć milionów zwiedzających po 3 franki od osoby, z czego na rzecz wynalazcy przypadnie około 60 procentów (blisko 10 milionów franków). Nawzajem—wynalazca zobowiązuje się telekroskop tak udoskonalić, by odpowiadał wszelkim wymaganiom—i przed wystawą r. 1900 nigdzie go nie okazywać.“

Roster tkacki przyniósł Szczepanikowi i Kleinbergowi zysk już poważny. Za prawo eksploatacji go na Niemcy otrzymali pół miliona marek, Anglia kupiła ów wynalazek za milion koron, obecnie prowadzą się pertraktacje o sprze-

daż patentu de Ameryki, Francji i innych państw.

Na czem jednak polega ważność telekroskopu?

A oto na tem, że nie tylko telegraf w dzisiejszym stanie zbytecznym już będzie, lecz telekroskop w jednej chwili przeniesie potrafi obrazy i druki całych dzienników, które na stacyi odbierającej, utrwalone zostaną sposobem fotograficznym. Co wydrukowano, dajmy na to, w Australii—po kilku sekundach, siedząc sobie spokojnie w Warszawie, będziemy mogli wyczytywać w dzienniku nam przez telekroskop przesłanym. Zatemknijmy za osobą o tysiące mil oddaloną odemnie, telekroskop pokaże mi ją na zawołanie w całej pełni młodości, jeżeli jest młodą, z uśmiechem na ustach, z rumieńcem na twarzy i oto, przeschłę jej natychmiast życzenia, do pocałunku usta złożę, w oczach moich zobaczy lzy tęsknoty, pragnienie bliskiego ujżenia jej. Widzieć się będziemy i rozmawiać, wzdychać i śmiać się. Nie jest że to bajka z tysiąca i jednej nocy—bajka, którą nam w rzeczywistości zamieni—Szczepanik?

Sezamowe drzwi się otworzą, przestrzeń zniknie, większy spokój zapanuje w sercach, mniej tęsknoty tęsknota mieć będzie. Wynalazek więc Szczepanika okrom niezmierzonej strony praktycznej dużo dobrego i dla uczucia zrobi.

Ale—wiadomem jest, że sława, powodzenie budzą zazdrość w sercach ludzkich. Nie otrzymamy, zdaje się, wynalazcy, któryby te złe uczucia wyrwał z duszy naszej a zasiał przeciwnie. Zaledwie światu wiadomem się stało odkrycie Szczepanika, już podnieśli się ludzie, przyznający sobie pierwszeństwo. Niejaki C. Senlecq z Andres we Francji, pisze do „New-York Herald'a“, że on przed Szczepanikiem wynalazł telekroskop... zjawił się i drugi jakiś samozwaniec, przypisujący sobie pierwszeństwo, obniżając w ten sposób zasługi Szczepanika.

Nie umniejszaj jednak ich w niczem.

Myśl podobnego przyrządu w setce może głów ludzkich błędziła, odbywać się mogły nieudane próby, machina była gotowa, lecz nie wiedziano w jaki sposób w ruch ją puścić. Aż oto z myśli tysiąca wylania się myśl jedna, jajko kolumbowe i—zagadka rozwiązana.

Tak było i z wynalazkiem Szczepanika.

Wiemy, że o podobnym przyrządzie i nasz Ochorowicz myślał—pracował nawet nad nim, nie sni mu się jednak jednego listka z zasług Szczepanika obrywać. Ale—jak rzekliśmy—powodzenie jest solą w oczach ludzi, sława ma własność palącą pokrzywy.

Zazdrość zazdrością, przechwałkami przechwałki, lecz oto zaledwie rozbrzmiała sława wynalazku Szczepanika, już daje się słyszeć głos drugi: oto i ja wynalazłem dalekowiedz, różniący się jednak zasadniczo od wynalazku Szczepanika, udoskonalaony zupełnie i daleko wyraźniej przenoszący obrazy. Tym nowym wynalazcą—hm! także Polak, student z Liège, p. Kazimierz Prószyński, który przedstawił komitetowi redakcyjnemu „Wszechświata“, a nazwał swój przyrząd: telefontem. Szczegółowy opis dalekowiedza, jak o tem dowiadujemy się z „Kur. Codz.“—wraz z rysunkami, podany będzie w najbliższym numerze „Wszechświata.“ Cierpliwości więc!

Minęło śródpoście bez tradycyjnego bicia garnków, jak o tem zapewniły nas dzienniki. Zwyczaj to dawny,—mówią, że dziś jest zbyteczny, albowiem garnki gliniane wychodzą już z użycia, z żelaznami zaś trudniejsza jest już sprawa. Wszystko to jest prawdą, na wszystko rozum zgodzić się musi, ale owe znikanie coraz bardziej zwyczajów różnych, na nas (mówię tu tylko o sobie) dziwnie drażniący wpływa. Zeszłego roku słyszeliśmy jeszcze na Starem-Mieście łoskot tłuczących się czerepów—dziś już żadna mieszczka jednego nie rozbiła garnka o drzwi swojego sąsiada; w niektórych domach zimne mięsiwa podczas świąt Wielkanocnych, ustąpiły miejsca zwyczajnym gorącym potrawom: indyk na gorąco, prosie na gorąco, szynka na gorąco; dzień wigilijny nawet obchodzony jest uroczystość w restauracyi spożyciem angiels-

skiego befsztyku lub zrazów nelsonskich. Oddalysz się od miasta o milę niewielką, do jednej, drugiej wsi zboczysz...

A co to?

Przed rokiem granatowe z wylogami pasowemi sukmany widziałeś—teraz obrzydliwe surduty, tandetę niemiecką na barkach kmiecia polskiego. Usuwa się jedno i drugie, polerują się ludzie, a mnie Bóg wie jakie myśli do głowy przychodzą, Bóg wie dla czego czoło rysuje się zmarszczkami.

Miałem sen...

A pfe! kto o snach mówi?...

Zkąd to zgorzenie? Snem jest życie, snem są marzenia nasze, sen snem jest nawet.

A oto ze wszystkich stron, w krótkich odstępach czasu dzwony się odzywają...

Znowu śmierć!...

Tak! żałobnie serce spiżowe bije?

Któż to znowu doczesną zakończył pielgrzymkę?

Klemens Junosza— — —

Czuję skurcz serca!...

Zmarł pisarz serdeczny, gawędziarz niezrównany, człek zacny, jeden z tych duchów wybranych, który śmiech i wesele niósł z sobą. Wesoło mu snuć było w życiu, gdy umiał drugich rozśmieszać—wesoło!...

Co? umarł w niedostatku wielkim? Pisma wzywają do składek na rzecz jego najmłodszego syna, by mógł nadal zaczęte nauki prowadzić?... Zkądże ta wesołość—ten śmiech?...

Nic! była to maska pokrywająca bóle życia, życia pracy wielkiej i niedoli, która zbyt wcześnie wytrąciła pióro złote z rąk dużego talentu pisarza.

Pod trumną kładą wieńce, na trumnę wieńce, ściany kościoła w kiry żałobne się stroją, może i odłam marmuru naznaczy grób pisarza— — — Śmierć ozdabiają w kwiaty, a życie...

Dosyć!... niezmierny smutek czuję — — —

??

PROŚBA.

Jeśli ci spadłe smuć ideały—

I żal ci marzeń—które się rozwiały
I snów—co przeszły już w dal—zblękitniały...

Jeśli ci tęskno za tą dolą białą—

Co sen pokazał—a życie nie dało —
Gdy żal ci—że sen prawdy ma tak mało...

Gdy żal ci kwiatów—co samotnie kwitną—

A im niebiosa twarzą się błękitną
Śmieją—za woń ich tęskną—nieuchwytną...

Gdy żal ci kwiatów tych—co wcześniej wiodną—

I żal ci duchów—które drogą błędną
Pójdą—i mają dolę gwiazd—podrzedną—

Dolę—poddaną gdzieś dalekim słońcom—

Którym się—jako Aniołom obrońcom —
Dają nieść—choćby gdzieś ku smętnym końcom...

Gdy żal ci bladych tych czół—które piętno

Geniuszu noszą—i mają namiętną
Krew—tych—co duszę mają bardzo smętną...

Jeżeli żal ci ich za smutną dolę—

Za to—że lzy ich i namiętne bole
Tak późno świat ubiera w aureole...

Za to—że smutki się ich nie ukoją—

Że jak cyprysy na mogiłach stoją—
Nad grobowcami chwały—i nad zbroją...

I nad urnami—pełnemi popiołów—

Pod wspomnieniami—co ciężą jak ołów
I pod tęsknotą—pod myślą Aniołów...

Gdy żal ci—że ich duch zawsze tak korny—

O chwili—kiedy gaśnie blask wieczorny—
Blask smętny—dnia zgasłego—trójkolorny...

Gdy żal ci—że ich duch tak zawsze dumny—

Kiedy nań idą pożarów kolumny—
Lub ciche niebo odchyła się trumny...

Jeżeli żal ci tych wszystkich—co giną—

Winą gwiazd—losów—albo własną winą—
O to pożałuj ty i mię—dziewczyno!...

Stanisław Nalecz-Ostrowski.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

XI.

Na ulicy Floryańskiej dawno wszystko spało. Na wieży kościelnej wybiła trzecia po północy; Magdzia śpiąca w swoim pokoiku na górze przebudzona biciem zegara machinalnie poczęła liczyć te dźwięki miarowe, rozlegające się głucho nad śpiącym miastem, gdy usłyszała jak na dole drzwi się otworzyły od kilku kamienic głośno i spiesźnie; liczne kroki dały się słyszeć na ulicy.

— Coś się stać musiało, pomyślała niespokojna. Może znowu nieprzyjacieli się zbliża...

Nagle czerwona luna uderzyła w okno.

Magdzia przerażona wyskoczyła z łóżka. Sądząc że to pożar, spiesźnie zaczęła się odziewać. Na dole, w sieni słyhać już było ludzi rozmawiających ruszających się; kto żył, wybiegał na ulicę.

— To Kleparz się pali! mówił ktoś.

— Nie, to tak jak na Garborzach! mówił drugi.

W tej chwili głuchy, przeciągły grzmot dał się słyszeć, jak gdyby coś potoczyło się i upadło. Za nim nastąpił drugi i trzeci. Szyby woknach zabrzęczały i poczęły drzeć przeciągle. Magdzia otworzyła okno i zaczęła słuchać: sama nie wiedziała co to być mogło.

— Na Boga, toż to armaty grają! zawołał jakiś stary mieszczanin.

Biją się kędyś!

W istocie huk armat bez przestanku się rozlegał.

Magdzia zbiegła na dół do kasztelanowej. Tam wszyscy już byli na nogach, potrwożeni, bo nikt nie wiedział gdzie owa bitwa, ani kto górą.

Kasztelanowa ubrana już także zeszła do dolnej sali; jednym słowem powstrzymawszy lamenty fraucymeru, zasiadła w swoim krześle, spokojna, choć z zaciśniętymi ustami. Stary jej marszałek przyszedł zalekniony, pytając, czy JW. pani kasztelanowa nie każe poznać do piwnic sreber i kosztowności.

— Poco? odrzekła kasztelanowa. Tam ludzie życie narażają, a my mielibyśmy troszczyć się o skarby? Jeśli miasto zostanie zdobyte, nie uchroni ich schówek w piwnicy, a jeśli nasi wezmą górę, to chować nie potrzeba. Idź waś lepiej, uspokój służbę, niech nie traci przytomności ducha,—i staraj mi się dowiedzieć, w której stronie toczy się bitwa.

Marszałek wyszedł, skłoniwszy się pokornie; kasztelanowa wezwała do siebie Magdzię i poczęły razem odmawiać koronkę.

Tymczasem huk dział coraz głośniejsze się rozlegał, a szyby brzęczały długim drzeniem, jakby wozy ciężko ładowne przejeżdżały pod oknami. Na ulicach stawały coraz większe gromady ludzi.

Wtem nadbiegł ktoś, wołając:

— Maksymilianczycy szturmują do Szewckiej bramy! Już są na okopach! Straszny popłoch wszczął się wśród tłumu: jedni, chwyciwszy za broń, biegli w tę stronę, drudzy myśleli gdzieby się ukryć, bo już widzieli w swej wyobraźni Kraków w ręku Maksymiliana. Kobiety płakały i łamały ręce. Nagle wśród tłumu stanął jakiś człowiek, mówiąc głośno, tak aby go wszyscy słyszeli:

— Nie bójcie się ludzie! Sam hetman jest tam! Hetman nieprzyjaciela odpiera z wałów!

Słowa te czarodziejsko podziałały na słuchaczy. Jeśli hetman jest tam, to niema się czego obawiać. Przestrasz stopniowo zaczął się uspokajać.

Skończywszy się modlić, Magdzia i kasztelanowa długo siedziały obok siebie w milczeniu, przysłuchując się oddalonemu gromowi dział i hałasowi ulicznemu. Niekiedy pęd wiatru odwracając się na miasto przynosił wraz z zapachem dymu, głos jakiś ogromny, pełny okrzyków i jęków zmieszanych. Lampa w komnacie rzucała niepewne światło na ściany; luna na niebie to rozpalala się, to przygasala.

— Ciociu, ozwała się wreszcie Magdzia, tuląc się do kolan kasztelanowej, przy której siedziała na niskim stołeczku, tak mi czegoś ciężko na sercu, że nawet nie potrafię tego powiedzieć. Modliłam się i nic mi to nie uspokoiło, ani troszeczkę... A niech ciocia nie myśli że się boję,—to zupełnie coś innego; coś mię za serce ścisła i rady sobie dać nie mogę...

Kasztelanowa pomyślała chwilę:

— Idź, dziecko moje, rzekła, kładąc jej rękę na głowie, klękaj przed obrazem Matki Bożej, który wisi nad twojem łóżeczkiem, a ten ciężar z serca ustąpi.

Pamiętaj że Bóg jest nad nami. Wiem czego się trwożysz, ale bądź mężną.

Magdzia pochyliła się do jej ręki, a kasztelanowa z uczuciem przycisnąwszy jej głowę do piersi, zrobiła krzyż za odchodzącą, i usta jej znów poczęły szeptać modlitwę.

W niejakiem oddaleniu od miasta leżało przedmieście Garbarze, składające się z kilkudziesięciu domków, zamieszkałych przez Niemców, którzy się trudnili garbarstwem. Maksymilian, który dniem wprzód nadszedł z całym swym wojskiem z Mogiły i rozłożył się po okolicznych wioskach, postanowił tamtędy dostać się do Krakowa, ponieważ był to najsłabszy punkt; a należało się spieszyć i coś przedsięwziąć, bo Zygmunt stanął już w Korczyniu. W porozumieniu więc z mieszkańcami, którzy, jako Niemcy, sprzyjali mu, arcyksiążę ukrył oddział swojej wyborowej piechoty na przedmieściu, a przed świtem rozpoczął szturm do okopów.

Zamojski tymczasem, powiadomiony o wszystkim, pozwolił wyjść z ukrycia nieprzyjacielskiej piechocie i rozkazawszy, dla odcięcia jego odwrotu podpalić przedmieście, wystąpił nagle ze swemi szkami.

Wówczas bój, prawdziwie piekielny się rozpoczął. Pomimo deszczu płomienie pożaru szerokiemi morzem płynęły coraz dalej, i jak huragan, zrywając dachówki i krokwie, roznosiły spustoszenie dokoła. Wśród duszącego dymu i syku płomieni rozlegały się krzyki rozpaczliwe: „Feuer!“ lub: „Gore!“ Mieszkańcy przedmieścia próbowali zrazu ogień ugasić, lecz widząc niepodobieństwo poczęli uciekać z płonących domów, unosząc, co kto mógł z sobą.

Piechota, ujrawszy odwrót odcięty, biła się zażarcie; w tymże samym czasie inne pułki Maksymiliana poszły do szturm, bo arcyksiążę spodziewając się że z pomocą zdrady garbarzy odrazu stanie się panem stolicy, zgromadził na tym punkcie wszystkie swoje siły. Za rajtarami niemieckimi szła jazda Zborowskich,

Stadnickiego, Jazłowieckiego oraz Górki, który niedawno właśnie ze świeżymi siłami nadszedł z Wielkopolski.

Wojsko hetmana i ochotnicy miejscy znaleźli się nagle w strasznym położeniu; sami musieli wytrzymać atak całej armii nieprzyjacielskiej.

Już szyki poczynaly się łamać; rotmistrz Kiermański poległ na czele swego hufca, wraz z nim nie mało towarzyszy, kiedy nadszedła artylerya Górki i przy świetle płonących domów celując swe działa, nie mało szkody zrządziła w szeregach hetmańskich, i rzuciła strach wielki na mieszczan, którzy bronili okopów.

Zamojski z niepokojem sledził postępy nieprzyjaciela; zdawało się że brama Szewska już, już zostanie zdobyta i Rakuszanie rzucą się na miasto, gdy nagle hetman, porwawszy w rękę chorągiew stanął na czele swoich hufców, sam prowadząc je do ataku.

Wojsko, zagrzane zapalem, z wściekłością rzuciło się na hufce Maksymiliana, zmiatając je przed sobą. Jazda hetmana wpadła na artylerję, w jednej chwili puszkarze zabici legli około wycelowanych dział, a paszcze armat, zwrócono na właścicieli. Baron Teifel na czele jazdy jeszcze raz natarł na hetmana, lecz padł przy natarciu; pułk jego, bez wodza szyk straciwszy, zaczął się cofać w nieładzie; hufce Lichtensteina i Homana poszły za jego przykładem.

Pożar wzmagał się, utrudniał odwrót, fale ognia obejmowały oddziały które, cofając się, widziały przed sobą broń nieprzyjacielską i własne, wycelowane ku nim armaty. Odgłosy komendy, wydawanej w najrozmaitszych językach, której jednak nikt nie słuchał, mieszały się ze rżeniem strwożonych i stających dęba koni, z jękami umierających i rannych, oraz wściekłymi okrzykami rozjuszonego żołdactwa. Nastąpiła już nie bitwa, a rzeź; mieszkańcy przedmieścia, podejrzani o zdradę, po większej części zapłacili za nią życiem. Gdzieś niedaleko, za stosami dopalających się domostw, garstki Szlązaków i Morawczyków stawiały jeszcze słaby opór, ale musiały w końcu uleść sile.

Hufce Jazłowieckiego szedł mężnie do szturm, lecz został rozbity przez jazdę hetmana; chorągiew pana Jana znalazła się w najgorszym ogniu, bo osłaniała odwrót innych oddziałów. Właściwie była to już tylko garść niewielka jezdnych, wielu bowiem poległo przy szturmie, reszta się rozproszyła, szukając ocalenia w szybkości swoich koni. Pan Jan, zebrawszy kilkunastu ludzi, mając przy boku swego wiernego pacholka, Michała Zawałę, który przez ciąg bitwy, ani na krok go nie odstępował, stanął w poprzek ciasnej uliczki, aby zagrozić przejście nieprzyjacielowi. Mały ten oddział długo stawiał mężny opór, ale w końcu przeciwnicy, rozdzielwszy się, obeszlą ciasnym przesmykiem między ogrodami i wzięli go we dwa ognie. Wówczas pozostało już tylko ratować życie; każdy myślał jedynie o tem by przetrwać się przez szeregi nieprzyjacielskie, nie myśląc o innych.

Pan Jan pozostał wkrótce z jednym tylko Zawałą przy boku. Oparł się o mur od ogrodu, ucierali się z napastnikami którzy już trzech położyli, podczas gdy reszta zajęta była ściganiem nieszczęsnych ich towarzyszy.

Pożar chwilami zdawał się przygasać i w ulicy było dość ciemno; korzystając więc z tego że usunęli z drogi tych co ich zatrzymywali, chcieli obaj zawrócić się w boczne przejście pomiędzy domami, by się ze swoimi połączyć, gdy nagle z po za muru wyskoczył nowy przeciwnik. Na koniu, ze wzniesioną szablą rzucił się z taką gwałtownością na pana Jana, że ten zaledwie miał czas odbić ten cios w porę. Poznał zaraz że ma do czynienia z dzielnym szermierzem; w migotliwym świetle, jaki rzucał dopalający się w pobliżu dom, rozpoczęła się zażarta walka.

Trwała ona dość długo, aż wreszcie pan Jan zadał cios potężny w głowę przeciwnika i powalił go z konia. Krzyk który tamten wydał, spadając, ugodził go w serce,—ten głos był mu znajomy!... Zadrżał i zeskoczywszy z konia, pochylił się nad leżącym; chciał wzmówić w sie-

bie że było to tylko złudzenie, że nie znał, nie mógł znać tego głosu!

Jakby umyślnie pożar znów zaczął przygasać, i niepodobna było rozpoznać twarzy w ciemności.

— Panie poruczniku, rzekł Zawała, zbliżając się, za chwilę Zamojszczyki znów tu będą...

— Zostaw mię! zawołał pan Jan. Uchodź jeśli chcesz,—ja zostaję!...

— Oj, co nie, to nie! odparł Zawała. Ja bez pana porucznika krokiem się nie ruszę,—ujdziemy razem, lub zginiemy razem!...

Wtej chwili dogasający płomień buchnął z nową siłą; zrobiło się jasno.

Pan Jan spojrział w twarz leżącemu i skamieniał!...

Już teraz nie było złudzenia; przed jego okiem osłupiałem stało wypisane ognistymi zgłoskami słowo: „bratobójca!“

— Świat zakręcił się przed nim w koło, włosy stanęły mu na głowie; jak obłąkany, patrzył na swoje dzieło, nic innego nie widząc przed sobą.

— Nie, nie, to być nie może,—to byłoby zbyt straszne! zawołał wreszcie, ocknąwszy się. Bracie, wstań! niech nie ciąży na mnie to przekleństwo! Ocal mię od rozpacz, od potępienia.—Nie, nie,—ani się poruszy! Boże, więc ja mam być Kainem? wykrzyknął, zatapiając rozpaczliwie ręce we włosach.

— Panie poruczniku, mówił Zawała, pochylając się również nad panem Ignacym, nie trzeba rozpaczać, może, Bóg da, on przyjdzie do siebie; serce bije jeszcze.

Nagle zatętniło w pobliżu: z bocznej ulicy wypadł oddział jazdy hetmańskiej.

Dowódca, osadziwszy konia, obejrzał się dookoła, a spostrzegłszy pana Ignacego, leżącego na ziemi, zawołał:

— Co to? Zabili go;—już drugi przyjaciel mi ginie od Zborowczyków! Podle plemię;—niechże mi się teraz żaden nie nawija na oczy, bo mścić się będę na każdym, który mi w ręce wpadnie!

— A więc mścij się na mnie, bo to ja go zabiłem, rzekł pan Jan z rozpaczliwym jakimś spokojem.

Nowoprzybyły, którym był pan Jacenty, spojrział na niego z chłodną, nieubłaganą zawziętością.

— Za to żeś się sam przyznał do winy, prędko się sprawim z tobą, rzekł przez zęby.

I skinał na swoich żołnierzy, którzy otoczyli pana Jana, nie stawiającego najmniejszego oporu, i przyparłszy go do muru, czekali tylko rozkazu dowódcy.

Wierny Zawała chciał się rzucić na pomoc, lecz dwóch żołnierzy chwyciło go za ramiona i trzymało jak w kleszczach.

— Ty bratku pójdiesz razem ze swoim panem do piekła, by mu tam nie tęskno było samemu, rzekł pan Jacenty.

— Niech i tak będzie, rzekł z rezygnacją pacholek.

— Nabić muszkiety! rozkazał pan Jacenty.

Pan Jan patrzył spokojnie, na dwadzieścia muszkietów, wycelowanych ku niemu. Nie była to już odwaga, ale rozpacz;—chciał zginąć!...

— Nie prosisz o łaskę? spytał pan Jacenty, patrząc mu pilnie w oczy, czy nie dojrzy w nich śladów strachu.

— Nie, odparł ten głucho.

Pan Jacenty chciał już krzyknąć: „Ognia!“ lecz nagle się powstrzymał.

— Jesteś odważny, rzekł, dając znak żołnierzom, by się cofnęli, zasługujesz bym się sam z tobą spróbował. Dobądź szabli!

Żołnierze rozsuli się, robiąc im miejsce.

Jednocześnie pan Ignacy, który nie otrzymał żadnej rany, gdyż szabla zwinęła się w rękę jego przeciwnika, a hełm osłonił mu głowę od gwałtowności tego uderzenia, zaczął przychodzić do siebie po ogłuszeniu, w jaki cios i spadnięcie z konia go pograżyły. W pierwszej chwili nie rozumiał nic z tego, co się w koło niego dzieje, blask pożaru przykro raził jego oczy; lecz widok który ujrzał, od razu ooculił go zupełnie. Jak człowiek, który budząc się ze snu, widzi

jeszcze jakąś straszną zmorę przed sobą, tak on otwarłszy oczy, spostrzegł brata, stojącego pod murem i dwadzieścia muszkietów, wymierzonych w pierś jego.

Chciał krzyknąć, bo mu się zdało że to sen jakiś okropny, lecz jak we śnie, głosu nie mógł wydobyć. Podniósł się z trudnością z ziemi, chcąc powstrzymać, osłonić, nie dopuścić do tego krwawego dramatu!...

Na szczęście pan Jacenty zatrzymał się w porę, a w chwili gdy żołnierze rozstępowali się, robiąc im miejsce, odwrócił się i—oko w oko spotkał się z przyjacielem.

Radość jego była większa niżby to przypuścić można było po jego chłodnej powierzchowności.

Ignacy zdołał wreszcie wymówić głosem osłabym:

— Puść go wolno, to mój brat!

Pan Jan nie wiedział w pierwszej chwili czy to wszystko we śnie, czy na jawie się dzieje, bo mu się wydało niepodobne takie przejście od rozpacz do radości. Radość ta odebrała mu niemal siły; nie mógł zrazu ani się poruszyć, ani przemówić. Wreszcie zawołał z wybuchem:

— Bracie, dwa razy ocaliłeś mi życie!

— Teraz niema czasu na podziękowania,—rzekł pan Ignacy, który nie pojął tego wykrzyku;—uchodź; bo mogą nadejść nasi!...

— Ty nie wiesz o niczem,—przerwał Jan, jakby nieprzytomny,—to moja ręka omal o śmierć cię nie przyprowadzi i tylko miłosierdzie Boże ochroniło mię od bratobójstwa!

Ignacy zadrżał i pobladł na te słowa.

— Boże, Boże, co się to dzieje! — wyszeptał.

Lecz oprzytomniawszy za chwilę, począł go znów naglić:

— Uchodź, Janku,—mówił z nagleniem,—za chwilę może być za późno... Ot, tu stoi twój koń, śpiesz się!

— Przebaczasz mi?—zawołał pan Jan ze wzruszeniem.

— Czy możesz o tem wątpić?—odparł tamten, rzucając mu się w objęcia.—Ale idź już, idź!

— Panie poruczniku,—ozwał się Zawała, podchodząc,—możebyśmy już szli ztąd, bo tu coś strasznie gorąco. Niema ani chwili do stracenia,—słyszysz już tentent.

Pan Jacenty zrazu patrzył w milczeniu na całą tę scenę, nie mieszając się do niczego, lecz i on zbliżył się i rzekł szorstko:

— Jedź, waszmość, jedź,—raz się od śmierci sianem wykręciłeś, to jeszcze chcesz z nią igrać? Pamiętaj, że ona nie żartuje:—tylko co nie widać naszych.

Pan Jan jeszcze napół nieprzytomny wskoczył na konia i obaj z Zawałą puścili się w ciemny koniec uliczki, którą dymy dogasającego pożaru zasłoniły po ich przejściu.

— Już są bezpieczni,—rzekł pan Ignacy, odetchnawszy, gdy tentent ich koni umilkł w oddaleniu.

W tejże chwili, z drugiej strony ukazał się liczny oddział wojska hetmańskiego.

*

*

*

Magdzia i kasztelanowa wyczekiwały naza jutrz z wielkim niepokojem przyjscia pana Ignacego. Przyszedł dopiero wieczorem, ale był tak błądy, że Magdzia, która z okrzykiem radości rzuciła się ku niemu, wstrzymała się nagle, wołając:

— Co ci jest? Pewnie jesteś raniony!

— Nie, Bogu dzięki,—odrzekł pan Ignacy, uśmiechając się, by ją uspokoić, tylko pozwól mi usiąść, bo mi jakoś nogi nie służą;—zawiele mieliśmy w nocy roboty!...

— Prawdę mówi Magdzia,—ozwała się kasztelanowa, tobie coś jest; wyglądasz jak z krzyża zdjęty.

— Eh, głupstwo,—odparł pan Ignacy,—do stałem szabłą po głowie ale taki mam łeb twar dy, że mi to nie zaszkodziło!...

Coś było jednak w jego głosie i spojrzeniu, co zastanowiło kasztelanową; popatrzyła mu w oczy uważnie i rzekła stanowczym tonem:

— No, tylko mów prawdę, bo ja zaraz poznam się na wykrętach. Chyba od jednego cięcia szabli nie mogło ci przybyć powagi i zastanowienia a jakoś widzi mi się, że trochę tego nabrałeś...

— Dalibóg, że przed ciocią, to nie się nie ukryje!—zawołał pan Ignacy. — Czy ja naprawdę jestem już takim wercipiętą, że jak troszkę spowaźnieję, to się zaraz ludzie temu dziwiają?

— Ano, niby tak, trochę,—odparła kasztelanowa.—Ale mów mi zaraz, co tam takiego zaszło,—nie myśl, że ci się uda wykręcić.

— Ja bo sam to widzę,—odrzekł pan Ignacy, którego twarz znów spowaźniała dziwnie, ale co prawda, to mi ciężko o tem mówić.

Jednakże, na naleganie kasztelanowej, począł opowiadać owo spotkanie w nocnej bitwie. Magdzia pierwszy raz w życiu widziała go tak wzruszonym, ale i jej samej wzruszenie i przeżalenie dech zapierało; zalana łzami, przy końcu opowiadania rzuciła się na szyję bratu, szepcząc:

— Ach, ta przekłeta, okropna wojna! Ignasiu, przyrzecz mi, że już się nigdy bić nie będziesz ze swoimi, nigdy;—inaczej, ja oszaleję! O, mój Boże,—brat przeciw bratu! Czy kto słyszał coś podobnego?

Kasztelanowa zaś niezmiernie była oburzona na pana Jana.

— Mówiłam to jeszcze dawniej panu bratu, że nie będzie nic dobrego z tego chłopca! — zawołała.—Niedaleko jabłko pada od jabłoni,—jaki ojciec taki syn! Że też to zawsze się zdarzy w znacznej rodzinie jakiś wyrodek! nie darmo ludzie mówią, że z jednego drzewa krzyż i łopata. Wprawdzie jego ojciec stryjeczny był tylko waszemu, ale zawsze to dziwnel... Cóż—ostrzegałam pana brata,—mówiłam, że nie może być, by we krwi już nie miał zarodków złego, ale nie słuchał mię i żmiję wychował u własnego łona!

— Wybaczcie mi, ciociu, ale ja stanę w jego obronie,—ozwał się pan Ignacy.—Ani ja, ani on nie jesteśmy winni, żeśmy się spotkali,—taki już los bitwy, gdy się jest żołnierzem, to się nie odpowiada za siebie, tylko idzie się, gdzie każą...

— Proszę,—nie odpowiada się za siebie!—powtórzyła kasztelanowa z ironią. — A po cóż on trzyma się Zborowskich, kto go zmusza do tego?

— Niewiadomo, może go co i zmusza. W każdym razie, gdyby nie on, to nie wiem czybym łatwo wy dostał się z rąk pana Stadnickiego, bo był okrutnie zły na mnie...

— Co tam waść będziesz gadał,—odparła kasztelanowa.—Żadna obrona tu na nic się nie zda, i nie przekonasz mię, choćbyś go nie wiem jak tłómaczył...

Magdzi nad wyraz przykrą była ta rozmowa; ukłękłszy u kolan kasztelanowej, wzięła jej rękę i rzekła:

— O, ciotucho,—ciocia zawsze taka dobra, niechże i teraz nie będzie zbyt surową!

— Cóż to, i waćpanna bierzesz go w obronę?—obruszyła się zacna matrona. — Tego już nadto,—nie chcą nie słyszeć o nim więcej, rozumiesz mię waćpanna? Ciotucho,—ciotucho wie dobrze co mówi i umie się poznać, kto wart pobrażania a kto nie wart!

— Biedny Janek! — szepnęła Magdzia cichutko.

Ignacy widząc, że nie przekona kasztelanowej, rozpoczął rozmowę o czem innym; Magdzia zaś tymczasem wymknęła się do swego pokoiku i tam padłszy na kolana, dziękowała Bogu z głębi duszy za to, że osłonił jednego brata od śmierci, drugiego zaś od grzechu... Przyszło jej na myśl, że to pewno duch matki stanął wówczas pomiędzy nimi.

— Mamo, mamol—wołała, wznosząc w niebo oczy zalane łzami, — czuwaj i teraz nad nami! Dcdaj mi sił, abym mogła choć troszkę być podobną do ciebie i zastąpić twoje miejsce!

*

*

*

Na drugi dzień potem wypadło jakies święto; kasztelanowa z Magdzą poszły do kościoła. Na-

bożeństwo było uroczyste; na podziękowanie Bogu za ocalenie miasta od nieprzyjaciela, przy końcu odbyła się procesya. Lud cisnął się bardzo tłumnie do stopni ołtarza; tłok był taki, że omał się nie poduszono. Kasztelanowa zatrzymała się z Magdzą a gdy procesya przeszła, by za nią nadażyć, puściły się boczną, wąską uliczką. Zdala już widać było tłum, nakształt węża różnobarwnego przesuwający się przez plac; dźwięk dzwonka i śpiewy pobożne zbliżały się, to też obie kobiety pośpieszały, by połączyć się z procesją. Ale nagle stanęły, zatrzymane przez nieprzewidzianą przeszkodę; w uliczce stał cały szereg armat, otoczony żołnierzami na koniach i niepodobna było przejść tędy. Była to artylerya pana Tęczyńskiego, wojewody krakowskiego, która podążając na drugi koniec miasta, zatrzymała się na boku, by dać przejść zgromadzeniu wiernych. Młody oficer na koniu, stał, patrząc czy już tłumy przeszły. Kasztelanowa bez wahania podeszła ku niemu prosząc, by kazał cofnąć nieco armaty, by można było dostać się na plac.

Oficer uśmiechnął się, lekko, ale widząc przed sobą niewiastę starą i szanowną, a obok niej młodą panienkę, obrócił się do żołnierzy i kazał im się cofnąć nieco.

Magdzia serdecznie się śmiała z tej przygody, podziwiając ciotkę, na której rozkaz armaty się cofały. Oficer zaś podjechał do kasztelanowej i zdjawszy czapkę z głowy, rzekł, grzecznie: — Droga już wolna,—mogą waćpanie przejść swobodnie.

Kasztelanowa podziękowała i obie przeszły pomiędzy armatami, otwierającymi ku nim swoje paszcze okopcone.

Wieczorem, gdy przyszedł pan Ignacy, jał opowiadać znowu o wczorajszej bitwie; jak wzięto dwie chorągwie na Maksymiliańczykach, które złożono w katedrze, a także wiele wozów z amunicją i narzędziami do szturm.

— Ale co najlepsze, to że w nasze ręce dostało się ośm dział wielkich, szturmowych z herbami Górki; to też wojewoda poznański podobno wścieka się ze złości z tego powodu i gdyby puszkarze nie byli padli w bitwie; z pewnością by ich kazał poćcinać, jak onych górników olkuskich, którzy pomagali Hołubkowi w napaści na hufce Maksymiliana.

— Tak, wszystko to bardzo pięknie, ozwała się kasztelanowa, ale też niemało ludu musiało poledz w tak zażartym boju; daj Boże żeby przynajmniej naszych niewielu...

— No, także poległo niemało, bo tysiąc pięćset sześćdziesiąt trupów naliczono na pobojuwisku, ale więcej daleko padło Niemców, i Morawczyków niż naszych, odrzekł pan Ignacy. Hetman wczoraj jeszcze wysłał pana Oborskiego w wieścią o tem zwycięztwie do króla, który podobno jest już nie daleko Korczyna...

— O, Boże, żebyż już jak najprędzej stanął w Krakowie! zawołała Magdzia, składając ręce.

— A ciekawas go obaczyć? spytał pan Ignacy z uśmiechem. Mówią że młody i dość urodziwy, choć na Niemca patrzy.

— Mnie o to nie idzie, zawołała Magdzia niecierpliwie, tylko myślę że gdy on przybędzie, wszystko zaraz się odmieni.

— Tak to się mówi, drażnił się pan Ignacy, a założyłbym się że wszystkie białogłowy ogniście ciekawe go obaczyć...

— Z pewnością,—i ja choć stara, przecież go ciekawa, rzekła kasztelanowa, szczególnie dla tego że ma być wielce stateczny, pomimo lat młodocianych...

— Tak niby jak ja, ozwał się pan Ignacy.

— Nie jest wercipiętą, ciągnęła dalej kasztelanowa, nie szuka wiecznie kłótni z wszelkiem żyjącem stworzeniem i nie sądzi że mieć głowę napełnioną czemś rozsądnem, kłopot sprawia...

— Dla Boga, toć to do mnie piją! zawołał pan Ignacy, zrywając się z udaniem przerażenia. Jak widzę, trza uciekać ztąd!

— Poczekajże, jeszcze ci nie opowiedziałam, jaką my z ciocią miałyśmy dziś przygodę, rzekła Magdzia, zatrzymując go. Poczem jęła mu opowiadać spotkanie z armatami, śmiejąc się jak dziecko.

— Słyszałem już o tem, przerwał pan Ignacy. — Słyszałeś? A któż ci o tem mówił?

— Pan Andrzej Wojnarowski, ów oficer, który się okazał tak uprzejmym kawalerem. Znamy się już oddawna; pytał mię właśnie czy nie zgadnę kto to być może owa jejmość taka rezolutna, a ja mu rzekłem, że jeśli to nie moja ciotka, pani Kłoczewska, kasztelanowa zawichostska, tedy już nie wiem kto.

— Dam ja ci, wartogłowie! pogroziła mu kasztelanowa.

— A cóż, czy nie dobrze zgadłem? rzekł pan Ignacy, całując ją w rękę. Pan Andrzej bo mię jeszcze o coś zapytywał, dodał z uśmiechem, patrząc na Magdzię.

— O cóż to? spytała niby obojętnie.

— O, o, jaka mi waćpanna ciekawa! Poproszę mię ładnie, to powiem.

— Nie miałabym też czego być ciekawą! zawołała Magdzia obrażona. Możesz nie mówić!

— No, to już sam powiem, Pan Andrzej pytał mię także o sliczną panienkę, która towarzyszyła onej pani.

— Zupełnie się o to nie pytał, tylko ty samo wymyśliłeś, by mi dokuczyć, przerwała Magdzia, zarumieniona.

— Daję ci słowo, że pytał.

— Nic, a nie temu nie wierzę!

— Tak, tak, nie wierzę, przekomarzał się pan Ignacy, a ja dałbym głowę że myślisz co innego.

— Dajże jej pokój, ozwała się kasztelanowa, któż widział dokuczać tak dziewczynie. Magdziu, chodź do mnie, i nie słuchaj tego złośliwca.

Pan Ignacy przestał żartować, ale choć po chwili zaczęto mówić o czem innym, twarzyczka Magdzi długo jeszcze pozostała rumiana jak mak.

Przy pożegnaniu pan Ignacy rzekł z uśmiechem:

— Gdy się spotkam z panem Andrzejem, to mu powiem że dobrze zgadł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Gliński w dramatach.

3 okazyi wystawienia „Almanzora.“

(Dokończenie).

Teraz pozostaje mi jedynie pomówić o ostatniej sztuce Glińskiego, wystawionej świeżo w teatrze Wielkim, a mianowicie o tragedji „Almanzor.“

O tragedji tej pisano dużo: i wówczas, kiedy wyszła w odbicie książkowej (drukowana była pierwotnie w „Ateneum“) i teraz, gdy ją odegrano nareszcie na scenie naszej najświetniejszej. Głosy były różne: więcej jednak dobrych, niżli złych; złych zresztą nie było zupełnie; znalazło się natomiast kilka sprawozdań miernych, których autorowie sami — zda się — nie wiedzieli, czego chcą: zarzuty czynione Glińskiemu były przeważnie płytkie, a bardzo często niesłuszne. Co gorsza, zdarzało się, że krytyk, besztając autora co się zmieści, sam jednocześnie zdradzał się z najzupełniejszą nieznajomością tła, epoki, a nawet głównych postaci działających w dramacie. Zarzucano Glińskiemu naprzykład, że popełnił błąd okropny: „Muzułmanie piją wino!“ Zarzut tak śmieszny i dziecinny, że, doprawdy, uceń czwartej klasy potrafiły nań odpowiedzieć bez zająknięcia. Toż, po pierwsze, dość przejrzyć którąkolwiek powieść z „Tysiąca i jednej nocy,“ by przekonać się, że muzulmanie nie tylko pili porządnie, ale upijali się nawet. Zawsze były na wschodzie gospody, gdzie pocichutku, ukradkiem praktykowało się na szeroką skalę obelgiwanie Mahometa i omijanie praw jego. Zresztą jakże można traktować Maurów hiszpańskich na równi z barbarzyńskimi plemionami Wschodu. Toć od tych Maurów właśnie cywilizacya poszła na Zachód! Toć oni

pod owe czasy, byli najwyższalceńszymi bodaj narodem w Europie, rozsadnikami nauk i sztuk pięknych! Poezya, medycyna, astrologia, alchemia, filozofia miały tam licznych przedstawicieli! Nie można o tem zapominać! Kto zaś pamięta o tem wszystkim, ten z pewnością dziwić się nie będzie, że *tary* Maurowie piją wino!

Inny krytyk z najzimniejszą krwią nakreślił że Gliński w tragedji swojej uczynił bohaterem tego samego „Almanzora.“ o którym w znanej swej balladzie śpiewa Mickiewicz. Małeńka różnica! tylko cztery wieki! bagatela!

Gdyby tak studencik młodziutki w wypracowaniu szkolnem napisał rzecz podobną, dostałby pałkę i wstydziłby się przez dwa tygodnie, ale krytyk znamienity chadza sobie z gęstą mianą i ani mu przez myśl nie przejdzie, że się... odrobinkę skompromitował.

Naumyślnie wspominam o tych drobiazgach, by dać dowód, jak to się u nas traktuje prawdziwe dzieła sztuki. Mądrych, sumiennych, recenzyj o „Almanzorze“ było parę zaledwie. I tak bywa zawsze! niestety!

O sztuce Rostand'a „Cyrano de Bergerac“ trąbią dziś na gwałt wszystkie pisma nasze! Tłómaczy się to na cztery ręce, wystawi się niebawem—i jeden okrzyk zachwytu brzmieć będzie od krańca do krańca Warszawy!

Nic w tem złego oczywiście: sztuka jest bez zaprzeczenia na podziw piękną i szlachetną, ale to smutne, że my się zawsze zachwycamy tem, co obce, a pomijamy mileżeniem lub chwalimy półgębkiem to, co własne.

„Pawiem narodów byłaś i papuga.“

Gdyby się u nas taki „Cyrano de Bergerac“ pojawił, ręczę, że autor jego miałby nie jeden twardy orzech do zgryzienia. Mieliliśmy takie przykłady! At! co to o tem gadać! Czekajmy na konkurs dramatyczny Paderewskiego.

„Almanzor“ Glińskiego po za wartością swą poetycką (o czem zbyteczna mówić) ma stanowczo duże zalety sceniczne; nie idzie on bez kwestyi piorunem od początku do końca, niektóre monologi są niepotrzebne, albo przynajmniej zbyt długie (na scenie); niektóre postacie (Nuradyn zwłaszcza) z jawiają się niekiedy bez dobrej racji, ale dlatego jedynie, że to do rozwoju lub wyjaśnienia akcji potrzebne; usterki te jednak są natury drugorzędnej; całość—według mnie—świadczy stanowczo o dużym scenicznym talencie autora.

Nie należy wreszcie zapominać, że Gliński napisał „Almanzora“ kilkanaście lat temu i że był to właściwie poemat dramatyczny. Dopiero później znacznie streścił go Gliński, skrócił, przerobił odpowiednio i oddał na scenę. Kto pisze, kto wie, jak to trudno rzecz raz napisaną przerabiać i zmieniać ten usterkom dziwić się nie będzie.

Ślusnie napisał Jabłonowski w doskonałym swem i głębokim sprawozdaniu z „Almanzora“ („Głos“), że dziś każdy cukierniany znawca teatru gada już jak z nut o tragedji Glińskiego. Nie chcę się narazić na taki, mało pochlebny, epitet, ale powiedzieć muszę to co mówią wszyscy. Trzeci akt „Almanzora“ jest najlepszy; jest poprostu wspaniały! Mimowoli ręce składają się do oklasku, mimowoli publiczność cała wybuchła jednym okrzykiem aplauzu. Nie zgodziłbym się za to że scena u Gigzy jest niepotrzebna. Owszem! przedewszystkiem przyczyną się do scharakteryzowania Awy i hrabiego Kastylii, dalej nadaje sztuce koloryt, sama przez się jest bardzo piękna, a wreszcie podoba się publiczności. Zdaje mi się, że to dostateczne dowody, iż usuwać jej nie trzeba i dobrze zrobił Gliński że rad recenzentów paru, pragnących tej zmiany, nie usłuchał.

Role główne: Almanzor, Amina, Awa, Nuradyn, hrabia Kastylii nakreślone są bardzo mocno. Nie wszystkie grane były (na pierwszym przedstawieniu) tak, jak należało. Pan Leszczyński np. w roli „Almanzora“ mniej mi się podobał, pani Lüde (hr. Awa) była odrobinkę za sztywna, natomiast pan Roland w roli hrabiego Kastylii porwał całą publiczność grą pełną uczucia i siły. Scena końcowa trzeciego aktu dreszcz w słuchaczach wzbudziła. Łka-

nie nad trupem matki, wybuch ogromnego żalu, ogromnej rozpazy miało w sobie tyle przejmującej prawdy, tyle grozy, że poprostu wierzyło się w rzeczywistość całego tego fragmentu: to naprawdę syn naprawdę płakał nad prawdziwym trupem matki.

Pan Nowicki bardzo dobrze wywiązał się z trudnej roli Nuradyna: był demoniczny, choć właściwie prawdziwym demonem była tu wyborna Amina p. Barszczewska. Z ról pomniejszych Kryspin, (postać zbliżona do Falstaffa) dostała się p. Wojdałowiczowi. Ten wywiązał się z zadania bez zarzutu: był ruchliwy, co jest zupełną jego zasługą i dowcipny co w znacznej części jest zasługą Glińskiego.

Inni artyści wszyscy prawie spełnili zadanie swoje dobrze.

Wystawa „Almanzora“ była, krótko mówiąc, zadziwiająca. Przepych w strojach niebawala! Nowe dekoracje—prześliczne! Pan Ładnowski, do prawdy, jest znakomitym reżyserem! Z całego serca życzę mu jaknajdłuższej działalności na tem stanowisku. To właśnie miejsce dla tego znakomitego artysty i wysoce inteligentnego człowieka.

Na końcu słówko życzeń serdecznych dla Glińskiego. Oby nie potrzebował (jak pisze w ofiarowaniu „Bolesława śmiałego“) odkładać dla prac poetycznych chwil snu! oby lutnia jego—wzniosła i czysta—brzmiała nam jaknajładniej! Oby ci których tak kocha, dali mu serce swe całe! Zasługuje on na cześć i wdzięczność, bo zaiste, jak rycerz stoi na wyłomie!

Artur Oppman.

RUCH MUZYCZNY.

Ślusnie powiedziano o sezonie bieżącym, iż czyni wrażenie powodzi koncertowej: w ciągu ostatnich kilku tygodni co wieczór prawie rozlegały się dźwięki muzyki bądź estradowej bądź operowej, dostarczając Warszawie najrozmaitszych wrażeń artystycznych.

Chcemy się z wrażeń przed czytelnikiem wypowiedzieć, zaznaczając przy każdej sposobności pewne uwagi krytyczne, aby dokładnie ruch muzyczny doby najświeższej określić i wszechstronnie go oświetlić.

Z wieku i urzędu należy się pierwszeństwo znakomitemu twórcy „Goplany“, Władysławowi Żeleńskiemu, który swoim koncertem kompozytorskim w Warszawie na długo zapisał się w pamięci naszego muzycznego świata. Program koncertu, złożony wyłącznie z dzieł Żeleńskiego, obejmował między innymi rzecz zupełnie nową: była to uvertura do opery „Janek“, którą kompozytor obecnie wykończy. Znać, iż twórca czerpał z natchnienia ludowego; tematy pieśni tej wracają z swoją wyrazistą charakterystyką; rytm utrzymany jest konsekwentnie, z prawdziwym zacięciem i obrazowością. Z dzieł tego bije czyste źródło poezji muzycznej, zarysowanej w formach barwnych i pięknych. Pełnemi akordami rozpoczyna się uvertura, doskonale usposabiając słuchacza swoim nastrojem; jest w niej temperament, udzielający się słuchaczowi. Wywiera to wrażenie jakbyśmy pograżyli się w odgłosy natury górskiej, szumiącej i dzikiej; z odgłosów tych w dalszym ciągu wyłaniają się pojedyncze, odrębne melodie, wybornie harmonizujące z ogólnem tłem świetnego dzieła. Bogactwo szczegółów instrumentalnych nadaje uwerturze prześlizny, gorący koloryt, świadczący o wielkim talencie artysty—twórcy.

Koloryt ten w wyższym jeszcze stopniu, mogliśmy zauważyć w „Muzyce baletowej“ Żeleńskiego, mieniającej się różnemi barwami; w grze tych kolorów znać siłę i zacięcie; chwilami rytm porywa z sobą i unosi, chwilami znów kołysze i czaruje. W pewnym momencie wypływa ztąd

przedziwna melodya na solo skrzypce, nadając utworowi rzeczywisty wdzięk poetyczny.

Wykonane na koncercie chóry Żeleńskiego: „Noc majowa“, Pieśń służebnic Aldony“ i „Chór paziów“, zarówno w traktowaniu orkiestralnem, jak i wokalnem, nosiły na sobie cechę wytwornego artystzmu i mistrzostwa ręki kompozytorskiej. To samo można powiedzieć o pieśniach solowych, które wybornie wykonała p. Szlezigerówna. Dzieła fortepianowe Żeleńskiego („Humoreska“, „Reverie“, „Taniec“ i „Gawot“) w wykwinnej interpretacji p. Wąsowskiej—Badowskiej podobały się powszechnie.

Trzykrotnie powtórzona fanfara orkiestry witala znakomitego koncertanta kompozytora—jubilata. Długotrwałe oklaski towarzyszyły tej owacy. Komitet towarzystwa muzycznego z hr. Wielopolskim, swoim prezesem na czele, wręczył Żeleńskiemu dyplom na członka honorowego towarzystwa.

Trzydzieści lat upłynęło od czasu, gdy po raz ostatni występował w Warszawie Pablo Sarasate, przedziwny skrzypek hiszpański, który rozsiewał wszelkie melodie z niedoścignioną lekkością i powiewnością. Jak przed trzynastu laty, tak i dzisiaj smyczek Sarassatego czaruje słuchacza, chociaż „dyabel hiszpański“ niewygląda, jak dawniej czarno: szron posypał głowę artysty—z tem mu jednak bardzo do twarzy. Ale skrzypce Sarassatego nic nie zmieniły swego głosu, posiadając ten sam żar wyrazu, namiętność uczucia, powiewność i subtelność swej ślicznej mowy. Wielki artysta wykonał „koncert szkocki.“ Brucha ze słodyczą ujmującą i dosadną plastyką; części rozmarzające były wykonane z rzeczywistą poezją,—a energicznie—z efektowną brawurą. Koloryt gry błyskotliwy i mieniący się wszystkimi odcieniami—pociągał i entuzjazmował zarazem. Biegłymi wypadły jak elektryczne iskry i zaświeciły w przestrzeni, zadziwiając swą szybkością i czystością nieposzlakowaną. Choć ton u Sarassatego nie jest silny, to wzamian jest tak miękki i delikatny, że pieści i upaja ucho nasze. Żadna trudność techniczna dla niego nie istnieje: oktawy, nuty podwójne, fladzeolety, staccata, szalone skoki, tryle bez końca, różne pizzicata, arpeggia, spiccata—wszystko to jaśniało, jak niebo gwiazdziste. „Rondo capriccioso“ Saint—Saënsa, „Josa de San Fermin“, „Serenada audaluzyjska“, „Tańce cygańskie“, mazurek Zarzyckiego i nokturn (Es-dur) Chopina—padały z estrady i buzdziły zapal wśród słuchaczy. Nokturn: „Ciszę nocną“ Chopina Sarassate wykonał z artystzmem, który jest ostatnim wyrazem sztuki.

Sarassate grywa na dwojgu skrzypiec Stradivariususa; są to instrumenty jednakowej wartości i jednakowych zalet: spoczywają one w jednym pudle. Trzecie skrzypce, z którymi nigdy się nie rozstaje, są wyborną kopią skrzypiec Paganiniego; otrzymał on tę miniaturę (skrzypce mają trzy cale długości) od jednego z przyjaciół; złożone są one w srebrnym futeralku i służą artyście, jako amulet szczęścia, Sarassate nosi ten wykwinny drobiazg w kieszeni od kamizelki.

Dwa koncerty własne dał u nas skrzypek hiszpański z ogromnym powodzeniem. Słodyczą tonu za każdym razem porywał i czarował. Na drugim koncercie Sarassate wykonał dzieła: Saint—Saënsa, Raffa, Ernsta i własne. I tym razem czarujące frazowanie, nierównana delikatność tonu, subtelność pełna precyzji stanowiły wykwinne zalety tej wspaniałej interpretacji. Kadencya z kompozycji Raffa: „Liebestée“, najeżona szalonymi trudnościami, uwydatniła jeszcze wszechstronnie technikę znakomitego wirtuoza. Całą maestryą Sarassate zaśluszył w swoich „Tancach cygańskich“, zwłaszcza zaś w fantazyi z opery „Carmen.“

Wyjątkowem również powodzeniem cieszyły się koncerty Józefa Śliwińskiego, który grał w Warszawie kilkakrotnie w tym sezonie, gromadząc zawsze tłumy nieprzeliczone słuchaczy. Program każdego koncertu Śliwińskiego był ogromny; na jednym np. wieczorze odegrał wyłącznie dzieła Chopina: „Fantazyę f-mol“, „Sonatę b-mol“, Scherzo h-mol, „Poloneza As-dur“,

